

Gość Niedzielny



Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Nowin Codziennych“

Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Na Niedziele siedemnastą po Świątkach

Lekcja.

Eiez. IA. 1 6.

Bracia! Proszę was ja więziń w Panu, abyście chodzili godnie powołaniu, które macie powołani, ze wszelaką pokorą i cichością, z cierpliwością, znośąc jeden drugiego w miłości, starając się, abyście zachowali jedność ducha w związku pokoju. Jedno ciało i jeden duch, jako jesteście wezwani w jednej nadziei wezwania waszego. Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest nadewszystkie i po wszystkim i we wszystkich nas. Który jest błogosławiony na wieki wieków. Amen.

Ewangelia.

Mat. XXII. 35—46.

W on czas przyszedł do Jezusa Faryzeuszowie, i zapytał go jeden z nich zakonny Doktor, kuszając go: Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w Zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Toć jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie. Na tem dwojgu przykazaniu wszystek Zakon zawisł i Prorocy. A gdy się Faryzeuszowie zebrałi, spytał ich Jezus, mówiąc: Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest Syn? Rzekli mu: Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu, siądź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół twoje podnóżkiem nóg twoich? Jeśli tedy

Dawid zowie go Panem, jakoż jest Synem jego? A żaden nie mógł mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od onego dnia więcej pytać.

Walka z chorobami zaraźliwymi

(Dokończenie.)

VI.

Zabezpieczenie się od chorób zaraźliwych przez szczepienia.

Mówiliśmy wyżej, że natura sama walczy z bakteriami, że w ciele naszym wytwarzają się odtrutki, które zabijają bakterie i zabezpieczają człowieka od powtórnego zachorowania na tę lub ową chorobę zaraźliwą. Otóż ludzie starali się, jeżeli można tak powiedzieć, podpatrzeć naturę i zabezpieczać się w ten sam sposób od chorób zaraźliwych. Więcej niż sto lat temu (w r. 1798), kiedy się jeszcze ludziom o bakterjach nie śniło, znalazł się taki wielki lekarz angielski, nazwiskiem Dżenner (Jenner), który znalazł sposób zabezpieczenia ludzi od bardzo ciężkiej, a wtedy nader na całym świecie rozpowszechnionej choroby — ospy.

Nie mogę tu szczegółowo opisywać tego wielkiego, a teraz wszystkim znanego odkrycia. Powiem tylko, iż ono polegało na tem, że Dżenner ludziom zdrowym szczepił ospę krowią, podobną do ospy ludzkiej. Szczepienie to prawdopodobnie wytwarza we krwi ludzkiej odtrutki, o jakich mówiliśmy wyżej, i zabezpiecza od wtargnięcia ospy, zresztą dotychczas jeszcze nieznanego. Od czasu tego odkrycia ospa przestała być taką groźną i powszechną chorobą. Tam, gdzie te szczepienia robią wszystkim bez wyjątku i co jakiś czas powtarzają, ludzie ospy nie znają. I u nas tak będzie, gdyż teraz wszyscy obowiązkowo, pod groźbą kary,

muszą szczepić ospę i co jakiś czas te szczepienia powtarzać.

W podobny sposób zaczęto zabezpieczać ludzi od innych chorób zaraźliwych. Sposób ten polega na tem, że się szczepi to jest zastrzykuje pod skórę zarazki pewnych chorób t. j. bakterie. Jakto, powie kto, przecież w ten sposób można człowieka zabić, a przynajmniej narazić na niebezpieczeństwo dostania ciężkiej choroby! Tak byłoby rzeczywiście, gdyby szczepiono bakterie żywe, które się tak szybko, jak wiemy, mnożą i wytwarzają zabójcze jady, ale do takich szczepień używa się tylko bakterii nieżywych, które się zabija poprzednio przez silne nagrzewanie. Takie bakterie już się nie mnożą, a jednak białe ciała chciwie się na te trupy rzucają, a we krwi zjawiają się znane nam już odtrutki. Gdy się takie szczepienie powtórzy dwa lub trzy razy, nagromadzi się tyle odtrutki, że żywe bakterie nie będą mogły sobie z niemi dać rady, czyli że człowiek będzie od danej choroby zaraźliwej zabezpieczony. W ten sposób udało się ludzi zabezpieczyć od tyfusu brzuszego, od krwawej biegunki, nawet od cholery. Wielkie to jest odkrycie, które w wojnie obecnej oddało niemałe usługi. W wojsku wszystkich krajów szczepiono w ten sposób całe armie i zabezpieczano żołnierzy od tych kilku chorób, od których za dawnych czasów więcej ginęło ludzi, niż od kul armatnich.

Szczepienia zabezpieczają człowieka nie na całe życie, lecz na pewien czas — na pół roku do roku, ale i to ma wielkie znaczenie, przytem po upływie tego czasu można znowu szczepienia powtarzać. Szczepienia takie mają ważne znaczenie w tych zwłaszcza czasach, gdy ludziom trudno jest zachowywać wszystkie przepisy, zabezpieczające od chorób zaraźliwych, gdy trudno jest o mydło, o dobrą

wodę, o czystą odzież itd. Nie uwalnia to jednak od zachowywania tych przepisów, gdyż nie zawsze można wszystkich ludzi zaszczepić, oraz dla tego, że szczepienia te są jeszcze nowością, do której nie wszyscy mają zaufanie. Wiadomo napewno, że szczepienia te nie są dla zdrowia szkodliwe, więc nie należy się ich wyrzekać — owszem, trzeba się im poddawać, gdy panują choroby zaraźliwe i gdy niema możliwości w inny sposób od tych chorób się zabezpieczyć.

VII.

Ogólny plan walki z chorobami zaraźliwymi. (Streszczenie).

Powiedzieliśmy na początku, że wypowiadamy wojnę chorobom zaraźliwym a więc bakterjom. Teraz mamy przed sobą jasny chyba plan tej kampanji, która nas powinna doprowadzić do zwycięstwa. Musimy się zjednoczyć, musimy złączyć nasze usiłowania w jednym kierunku i wzajemnie sobie pomagać, aby wroga zwyciężyć, a więc:

Po 1-sze: Musimy sobie dobrze uświadomić wszyscy — starzy i młodzi — biedni i bogaci — uczeni i prostaczkowie — co to są choroby zaraźliwe, od czego zależą — jak się od nich można bronić. Do tego służą książki, zrozumiałe dla każdego, dostępne i tanie, odczyty, pogadanki i t. p. Każdy ucywilizowany człowiek powinien się o tych ważnych rzeczach dowiedzieć. Kto sam o tem wie, powinien nauczać innych i szerzyć potrzebne wiadomości o chorobach zakaźnych, o bakterjach i t. p.

Po 2-gie. Wszelkimi sposobami należy bronić się od wkroczenia bakterji do naszego ciała i tępić je na każdym kroku, zanim rozpoczną swoje niszczące działanie. Jak to robić i dlaczego, staraliśmy się wyjaśnić w niniejszej pogadance, więc tego powtarzać nie będziemy.

Po 3-cie. Z ciała naszego powinniśmy uczynić twierdzę, niedostępną dla bakterji. Trzeba być silnym, trzeźwym, mieć w sobie zdrowe soki, zdrową krew, która sobie z bakterjami poradzi, chociażby one dostępną do niej znalazły. Rząd musi zabezpieczyć obywateli od głodu, od nieuczciwej spekulacji nieucznych „paskarzy“, włóczących się, jak hyeny, po polu bitwy.

Po 4-te. O ile to jest możliwe i konieczne, zabezpieczać się od niektórych chorób przez szczepienia, o których mówiliśmy w poprzednim rozdziale. Na pierwszym miejscu należy postawić szczepienie ospy ochronnej, co zresztą nakazane jest przez prawo.

Brud, głód i... ciemnota (bakterje boją się słońca!) to są cztery potęgi, to są sprzymierzeńcy bakterji i chorób zaraźliwych. Walczyć z temi potęgami jest obowiązkiem każdego prawego obywatela. Potrzeba na to dużo dobrej woli, dużo rozumu, dużo pracy i... dużo pieniędzy. Ale od skuteczności tej walki zależy nasza przyszołość, nasze istnienie, więc nie żałujmy na to ani pracy, ani pieniędzy!

Każdy dobry rząd wysiła się na to, ażeby swych obywateli uchronić od chorób

zaraźliwych, gdyż choroba i śmierć każdej jednostki jest wielką stratą dla kraju i dla społeczeństwa, ale każdy dobry obywatel powinien pomagać swemu rządowi w walce z chorobami zaraźliwymi, powinien rozumieć wydawane w tym celu przepisy i sumiennie do nich się stosować. Wtedy tylko walka z tą straszną plagą może się zakończyć zwycięstwem.

(Dokończenie.)

Dziewczyno, czy ci nie żal...

Dziewczyno, czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych;
Od matki, chatki hen w dal,
Od łąk i łąków rześmitych?
Dziewczyno, czy ci nie żal?
Dziewczyno, nie odchodź w dal!

Dziewczyna stoi i bół
Się wszczyna w jej szczerzej duszy.
„Wszak w domu miałam chleb, sól
I matkę co łyż osuszy.
Cóż obcych szukam tak stron,
Gdzie czeka mnie nędza, srom?“

Dziewczyno, czy ci nie żal
Wyjść za mąż za cudzoziemca?
On serce ma jakby stal,
Nie zna też wstydu rumieńca.
Dziewczyno, żal mi cię żal,
Za obcym nie odchodź w dal!

W dziewczynie ozwał się głos,
Co słowo dała obcemu:
„Oj, ciężkiż czeka cię los,
Gdyż swój należy ku swemu.
Dziewczyno, słowo twe wróć,
Do obcych ludzi nie chódź!“

Dziewczyno, czy ci nie żal
Porzucić mowę i wiarę?
Tą zbrodnią duszy nie kał,
Gdyż Bóg wymierzy ci karę.
Dziewczyno, Boga się bój,
Na straszny pomnij sąd twój!

Kochając Boga, swój lud,
Obcego dziewczę się rzeka.
Zrzuciwszy z siebie ten brud,
Jej dusza czysta jak rzeka.
Dziewczyno, ciesz się już ciesz,
I wieniec zwycięstwa bierz!

Ks. Jędrzejczyk.

Galernik wyzwolony

Był to gorący dzień r. 1622. Słońce rzuciło tak pałace promienie na port Marsylii, że zdawało się, iż ogień z nieba na ziemię. Rybacy znużeni skwarem, położywszy się w cieniu swych łódek, odpoczywali; w porcie panowała zupełna cisza. Na jednym tylko statku widać było ruch i życie; znajdujący się na nim ludzie, zajęci byli, mimo skwaru południa, mozolną robotą oczyszczania portu z błota. Ci nieszczęśliwi, byli to galernicy skazani na ciężką pracę za różne przestępstwa.

W pobliżu zatoki, na jednej z wywróconych łódek, siedziała kobieta przygnębiona widocznie wielkim cierpieniem.

Musiała ona liczyć najmniej lat 70, gdyż włosy jej były siwe zupełnie, a twarz zmarszczkami pokryta. Już kilka chwil siedziała tak nieruchoma w zupełnym milczeniu, gdy nagle uczuła czyjąś rękę na swoim ramieniu. Odwróciwszy się, ujrzała za sobą średnich lat mężczyznę w ubraniu duchownego. Czoło miał szerokie i myślące, twarz bladą, spojrzenie rozumne, a przenikliwe. Matka Le-Brun — takie było nazwisko starej kobiety — znała go widocznie, gdyż smutną jej twarz oświecił promień radości.

— Ach, ojciec Wincenty, — rzekła — jesteście w Marsylii, sądziłam, żeście wyjechali. O, czemuż nie wiedziałam o tem pierwej. Biedny mój Jakób byłby może ocalony!

— Jakób, wasz syn, cóż mu się przytrafiło? czy chory? zapytał kapłan.

— Coś daleko gorszego ojciec, wołałabym, żeby umarł... Został uwięziony.

Kobieta podniosła wzrok niemal błagalny na pytającego.

— O, nie sądzcie go, ojciec, za surowo, — rzekła — on mniej jest winnym z pewnością, jak to się wydaje; przyznaję, że był trochę żywy, trochę za gwałtowny, lecz zresztą najuczciwszy, najpracowitszy z całej wsi chłopiec. Kilka tygodni temu poróżnił się z nim niejaki Carlo Carallo, jeden ze sług hrabiego Biornii i przyszło do bójk. Jakób broniąc się, tak nieszczęśliwie uderzył Włocha, że ten padł nieprzytomny.

Carallo był faworytem hrabiego, niebezpieczeństwo życia groziło mu, uniesiony hrabia gniewem zaniósł skargę do samego króla i

syn mój skazany został na lat dziesięć do galer.

— Widzicie ten okręt, ojciec, — dodała kobieta, wskazując ręką statek, na którym ludzie pracowali, — tam syn mój, okuty w kajdany, zalewa się łzami rozpacz. Widzicie z tej drugiej strony tę kobietę, otoczoną drobnymi dziećmi, — tu zwróciła się twarzą ku wiosce, gdzie stała młoda kobieta, przygnębiona widocznie smutkiem, a koło niej pięcioro drobnych dzieciaków niepokojnie śledzących twarz matki, — to jego żona: myśli pewno biedna, czy potrafi wyżywić sama swoje maleństwa.

— Całem sercem ubolewam nad waszym nieszczęściem, — odrzekł kapłan — lecz nie rozpaczajcie, matko Le-Brun, dziesięć lat — nie wieczność.

— Mam lat siedemdziesiąt, ojciec, — rzekła, — za lat dziesięć pewno już będę w grobie. Lecz mniejsza o mnie! Jeśli tutaj na ziemi nie zobaczę więcej mego syna, to spotkamy się z czasem tam wysoko, gdzie wesele wieczne, ale jego dzieci, któż nad niemi czuwać teraz będzie? Biedny mój Jakób, jakże musi cierpieć, myśląc o nich.

— Bądźcie spokojni, matko, — rzekł kapłan — zrobię dla was wszystko, co

tylko będzie w mej mocy, a teraz pójdę do waszego syna, aby mu toż samo powtórzyć.

Kobieta schwyciła rękę swego dobroczyńcy i do ust ją przycisnęła, on uśmiechnął się do niej łagodnie, poczem oddalił się w stronę, gdzie statek widać było.

Komendantem galer był niejaki Perin; kapłan udał się wprost do niego, prosząc o pozwolenie odwiedzenia galernika Jakóba.

— Nie daję tego pozwolenia nikomu, — rzekł komendant — lecz jako duchownemu odmówić nie mogę.

Kapłan, ukłoniwszy się uprzejmie panu Perin, pośpieszył na galery. Stało tam kilku młodych ludzi w kajdany okutych, obcy przybysz zbliżył się do jednego z nich.

— Jakóbie Le-Brun, mój przyjacielu — rzekł łagodnie do niego, — mam do ciebie zlecenie.

— Przyjacielu, — powtórzył młody człowiek z goryczą, — czy chcesz sztychować mnie, mój ojczu? Któż mnie dziś przyjacielem nazywa?

— Ja — twój brat w Chrystusie.

— Więc jesteście kapłanem i przyszedście nieść mi pociechę religijną?

— Nie, przyszedłem was uwolnić i wrócić żonie i biednym sierotom.

— Mnie uwolnić? A to jakim sposobem?

— Bardzo łatwym, — odrzekł kapłan. — Weźmiecie moje suknie, a ja zostanę w waszem miejscu; zamiany nikt się ani domyśli przy tak ogromnem zajęciu, bo tu nie tyle idzie o osoby, co o liczbę więzionych więźni.

— To niepodobna! — zawołał więzień — i nigdy nie pozwolę, aby kto za mnie cierpiał tak straszną karę.

— A rozważ, tam pięcioro waszych dzieci umrze z głodu i nędzy...

— Ojczu, nie wspominaj mi o tem, bo rozbiję sobie głowę temi żelaznymi kajdanami.

— Cicho, cicho — poważnie i surowo wyrzekł ksiądz. — Coś dostał bez swojej wiedzy od Boga, Stwórcy i Zbawcy wszystkich ludzi i świata, z tego nie możesz gwałtem się wyzwać.

— Cóż mi innego pozostaje? — zapytał Jakób, zalewając się łzami.

— Korzystać ze sposobności...

— Ależ, ojczu, niepodobna...

— Bracie mój, — zawołał kapłan, — samotny na świecie, a tam rodzina twoja zginię, zgnębiona troską i nędzą. Lat dzieścię wytrwam z łatwością i przyjdę prosto do ciebie, gdy ty wróciwszy do domu, mógłbyś sześć mogił zastać tylko.

Jakób nie chciał przyjąć tak wielkiego poświęcenia; lecz kapłan prosił i błagał, aż wymógł wreszcie, że Jakób przyjął ofiarę.

W kilka tygodni potem pan Perin dostał wezwanie od hrabięgo de Joigini, wysoko położonego na dworze króla Ludwika XIII, z zapytaniem, co się stało z jego przyjacielem, Wincentym a Paulo?

— Poszedł zwiedzić wasz statek — pisał do niego — i od tego czasu przepadł jak kamień w wodzie.

Perin odgadł natychmiast prawdę i odpowiedział, że musi się znajdować na galerach w mieście Jakóba Le-Brun. Pod palacami promieniami słońca z rękoma pokaleczonemi od kajdan pracował tam Wincenty a Paulo.

Wzruszony hrabia kazał go natychmiast rozkuć, poczem zabrał go ze sobą do Paryża, głosząc wszystkim piękny czyn świętego męża. Do końca jednak życia ślady blizn pozostały mu na rękach.

Fakir

Opowieść indyjska.

Spolszczyła Aniela Kallas.

W cieniu olbrzymiego kaktusa siedział fakir Bachadur i tak oto mówił do żony swojej, pięknej Alidy:

— O, Alido, gołąbko moja! Wspomnij! Wczoraj urzędnik podatkowy zabrał nasze ostatnie zapasy ryżu; dzisiaj, lub jutro, przyjdzie inny i ogołoci nasz śpichlerz z resztek kukurydzy i maku. O, kwiecie ty mój różany! Wiedz o tem, że podatki, to kara od Boga zesłana, niech będzie Imię Jego pochwalone teraz i na wieki.

Zaczem Bachadur odmawiać zaczął następujące słowa z Koranu:

„O, ty, któryś skazany na niebezpieczeństwa, a każdej nocy toniesz w ciemnościach, nie troszcz się tak bardzo, albowiem nie tylko poprzez trud i znój zdobywa się utrzymanie. Czy widziałeś morze i rybaka na morzu? Podczas, gdy skryły się wśród ciemnej nocy gwiazdy na niebie, rybak się trzyma na swe utrzymanie. Do połowy ciała zanurzył się w wodzie, oczy nieruchomo utkwil w wędecku i czeka tak, bojąc się poruszyć. A kiedy wreszcie na wędkę dostała się ryba, wówczas zadowolony jest rybak z nocy nieprzespanej. Atoli rybę kupuje od rybaka ten, co noc przespał wygodnie i nie zaznał trudu, ni zimna. Chwalcie Boga! Jeśli jednym odmawia, daje drugim. Ktoś łowi rybę, a kto inny ją zjada.“

Na to rzekła Alida, żona fakira.

— O, Bachadurze! Serce serca mego! Jeśli nam odbiorą zapasy maku i kukurydzy, wówczas będziemy musieli umrzeć z głodu.

Bachadur odpowiedział:

— To właśnie, o Alido, ciężarem mi się kładzie na piersi, a sen spędza z powiek. Lecz pocieszam się nauką zakonu:

„Szczęście i byt zależne są od przeznaczenia. W jednym kraju głód i nędza, w drugim kwitnie urodzaj. A w księdze przeznaczeń jesteśmy jako ptaki, która raz tu, raz tam, znajdując pożywienie. Bywa, że jakiś ptak obleci ziemię od wschodu na zachód, a inny otrzyma wszystko, co mu do życia potrzebne, nie utrudziwszy skrzydeł. Dlatego, o Boże! dźwigam wytrwale twoje wyroki. Nie tracę cierpliwości, gdy Bóg znajduje w tem upodobanie, aby mnie doświadczyć. Stała mi się krzywda, lecz

straty powetuję sobie wieczną w raju szczęśliwością.“

I odpowiedziała Alida, żona fakira:

— O, Bachadurze! żrenico mego życia, duszo duszy mojej! Podczas, gdy czekać będziemy na rozkosze raju, które powetować mają nasze straty, głód szarpać będzie nasze wnętrzności. Pójdźmy raczej do lasu; narąbisz drzew i powieziemy drzewo do Kalkuty na sprzedaż, iżby mieć na pierwsze potrzeby życia.

Fakir Bachadur podniósł w górę wskazujący palec u prawej ręki i rzekł:

— O, nie tak, Alido, żono moja! Nie pójdziemy do lasu, nie narąbię drzewa, aby je zawieźć do Kalkuty i sprzedać Bóg, Imię Jego niechaj będzie pochwalone, oświecił mnie zbawienną myślą. A ty uważaj, Alido moja! Niech spojrzenia twoje spoczną na mnie, a uszy twoje nasłuchają, co teraz powiem. Ale przedtem nakaż oczom twoim, aby powstrzymały łzę. Jutro raz jeszcze umrę. Wszakże pięć dni leżałem w grobie umarły, a teraz na dziesięć dni w ziemię mnie za-grzebiesz, abym zdobył większą wprawę w umieraniu. Następnie wybiorę się do krain Południa i tam, za brzęczące złoto cuda pokazywać będę niewiernym.

I rzekł jeszcze Bachadur:

— O, losie! Nie uszanowałeś mnie i nie miałeś ze mną litości. Na cóż się zda zręczność strzelca, gdy łuk się zerwie w chwili, kiedy strzałę chce wyrzucić. Ale oto w inną stronę los cugle skręca; wierzę, że przyniesie coś dobrego, a sprzyjając nadziejom, urzeczywistni moje pragnienia i powodzenia, wszystko inne się podda.

Odpowiedziała Alida:

— O, Bachadurze! Światło oczu moich! Jeśli nie chcesz pójść do lasu, iżby drzew narąbać i zawieźć na sprzedaż do Kalkuty, w takim razie zginiemy razem w ubóstwie i bólu, lecz nie zostawiaj mnie samej. Gdy było, żeś pięć dni leżał w grobie, zdawało mi się, że na niebiosach zgasło słońce. Serce moje konało z tęsknoty za tobą, a oczy moje nie wysychały od łez, jak nie wysycha ziemia, podczas kiedy z otwartych czeluści niebieskich leją się na nią obfite, długotrwałe deszcze.

I Alida powtórzyła jeszcze za poetą:

„Choćbym żyła w największych dostatkach, choćbym bogactwa całej ziemi posiadała i krainy Chosroejów, za nic bym to wszystko miała, gdybym ciebie, o, mój luby! nigdy więcej nie widziała!“

Fakir Bachadur zadrżał. Zapomniał poprzednich słów swoich i rzekł:

— Nie patrzeć mi dłużej na nędzę naszą. Już dość tej męki! Nie chce już dłużej dźwigać ciężaru wielbłąd, gdy poganiacz, nieumiarkowany w swoich wymaganjach, objuczy go nadto i ponad siły. Alido! powstrzymaj śluzę łez i nie płacz więcej, jakom ci tak nakazał. A jeśli niedługo już, z pomocą Boga wszechmogącego, niechaj Imię Jego będzie pochwalone, z krain południa powrócę, wówczas czoło twoje przyozdobię w djadem z pę-

reł, ramiona otoczę złotemi bransoletami, a piękne ciało twoje owinę w szeleszczące, wzorzyste jedwabie.

Następnie wyrecytował Bachadur:

„Opuść ojczyznę swoją, jeśli tęsknisz za sławą. Podróże dadzą ci urozmaicenie, przysporzyć mogą bogactw, wiedzy i wykształcenia. Nie żałuj trudu, nie obawiaj się żadnych trosk, pogardzaj niebezpieczeństwem i nie daj się obalamucić boleści rozstania. Wybrany raczej umrze, niżli miałby żyć w pogardzie, wśród zażyści i krzywdy.“

Wtedy Alida nisko ku ziemi pochyliła czoło, albowiem były to całkiem różne słowa od tamtych.

Fakir Bachadur podjął na nowo wątek przerwanej rozmowy.

— Jutro, skoro świt, podniosę się z łoża i usiądę pod tem drzewem kaktusu, aby umrzeć. Przez trzy godziny będę się wpatrywał w mały palec u mojej lewej nogi, aż oczy moje zmęczą się bezwładne. Następnie wywrócony koniec języka wcisnę w krtań, iżby do płuc nie wpuścić powietrza. Tak wytrwam drugie trzy godziny. Wreszcie położę się na wznak i znowu przez godzin trzy wpatrywać się będę w jeden punkt na niebie. I tak po dziewięciu godzinach dopiero, zbliżysz się do mnie, Alido, i długą szpilką ukłujesz mię w ramię. Jeśli nie drgnę, jeśli w miejscu ukłutem nie wytryśnie krew, wówczas wiedz o tem, że umarł. Zamkniesz mi powieki i zasklepisz je białym włoskiem. Tak samo zasklepisz usta moje, nos i uszy. Potem z chaty wyniesiesz trumnę, którą już mam przygotowaną, ułożysz w nią ciało moje i wywieziesz do lasu w miejsce, które już znasz i gdzie wczoraj grób mój wykopałem. A gdy w grób z łożysz, starannie zasypiesz mogiłę i zrównasz z ziemią, iżby żaden z przechodniów niczego nie zmiarkował. „Tylko żona znać powinna mogiłę męża“, mówi zakon. Dasz mi tak leżeć dni dziesięć. Każdego dnia przychodź na mój grób pomodlić się, a w dniu dziesiątym odgrzebiesz mogiłę, otworzysz trumnę, oddalisz wosk z oczu moich, ust, nosa i uszu; włożysz następnie ciało moje do ciepłej wody, potem tak długo nacierać mi będziesz piersi i skronie, dopóki znowu oddychać zacznę. Wiem, że to zrobisz, o Alido, wierna małżonko, i niechaj pochwalone będzie Imię Boga, wypisane w gwiazdach.

Bachadur zaczął recytować:

„Jakże łaskawym jest Bóg, pomimo, że najmędrzy człowiek wytlómaczyć nie zdoła, dlaczego tak się dzieje. Jakże często zamienia Bóg ubóstwo w dostatek, boleści w ukojenie, smutek w wesele. Znękanemu zsyła pociechę, a podczas gdy rankiem krwawiło się serce rozpacz, już tego samego wieczora doznać możesz radości. A skoro ku złemu los się zmieni, zwróć się do Boga, módl się do proroka Jego, albowiem Bóg obiecał spełnić wszystko, o co prosić będzie prorok dla swoich.“

Dnia następnego, gdy gwiazdy świeciły jeszcze na zachodzie, powstał fakir Bachadur z łoża swego i usiadł pod drzewem kaktusu, aby umrzeć. Wypełnił wszystko jako był powiedział i ciało jego stało się bez czucia. Więc kiedy w czasie oznaczonym zbliżyła się Alida i ukłuła go długą szpilką w ramię, zauważyła, że ani drgnął, ani się krew pokazała w miejscu ukłutem.

Uczyli więc Alida, jako jej przykazał Bachadur i pochowawszy męża, zrównała grób z ziemią, iżby żaden z przechodniów nie odkrył mogiły.

Pierwszego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża; gdy bowiem zbliżyła się do lasu, z zarośli wyszedł angielski oficer i uśmiechnął się do niej. Oficer był młody; Alida uciekła i bała się już wyjść z chaty.

Drugiego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, bo ile razy chciała przestąpić próg chaty, zastępował jej drogę angielski oficer i uśmiechnął się znowu do niej.

Mundur oficera miał czerwone obszycia.

Trzeciego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, gdyż angielski oficer przyszedł do jej chaty. Coś mówił, lecz Alida nie rozumiała słów jego, a tylko płakała.

Głos oficera dźwięczał bardzo ładnie.

Czwartego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, gdyż młody angielski oficer przyszedł znowu do jej chaty i uśmiechając się mile, gładził ją po głowie i twarzy.

Oczy oficera były błękitne, jak niebo.

Piątego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, gdyż angielski młody oficer jadł z nią obiad w jej chatce. A były to potrawy przywiezione z Kalkuty: mięso sporządzone na sposób angielski, drób i konserwy, a nawet konfitury. Pili także wino palmowe, które Alida wyjęła ze skrzyni.

Wąsy oficera były jasno blond.

Szóstego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, bo w towarzystwie młodego, angielskiego oficera wybrała się na wycieczkę. Oficer powoził i podczas jazdy śpiewał piękne pieśni angielskie.

Usta oficera były jak wiśnie purpurowe.

Siódmego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, gdyż podczas wycieczki z młodym oficerem angielskim, zabłądzili oboje aż do Kalkuty. Alida nie mogła sama trafić do domu. Poszli pod ramię na spacer.

Stopy oficera były małe i zgrabne.

Ósmego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, bo właśnie angielski oficer pokazywał jej, co godne jest widzenia w Kalkucie: ogród gubernatora, wieżę milczenia, świątynię Kali i szpital Dżanzedzi.

Ręce oficera były starannie pielęgnowane i miały różowe, szlifowane paznogie.

Dziewiątego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża. Młody angielski oficer kupił dla niej na ozdobę czoła diadem z pereł, na ozdobę ramion złote bransolety, a dla owinięcia jej pięknej postaci szeleszczące, wzorzyste jedwabie.

Ciało oficera było gibkie, jak palma.

Dziesiątego dnia nie mogła Alida odwiedzić grobu swego męża, bo już wczesnym rankiem, w towarzystwie młodego angielskiego oficera stała na pokładzie królewskiego parowca „Trafalgar“, który płynął do Anglii.

Wesoły kącik

Katolik i protestant stanąwszy na popas u żyda w karczmie — prowadzili zaciętą rozprawę o tajemnicy Trójcy św. i jeden zbijał uporczywie twierdzenie drugiego. Żyd przysłuchując się ich sprzeczce, rzekł: — Ja panów pogodzę. A zapamiętany odrzekł: — Głupiś żydzie, ty wcale o tej sprawie nie masz pojęcia. — Dlaczego nie mam mieć pojęcia? Ja zaraz tego panom dowiodę, chociaż nie słowem, ale czynem.

Karczmarz postawił więc na piecu trzy szklanki napełnione wodą, lodem i śniegiem, mówiąc: — Wyobraźmy sobie, — że woda to Bóg Ojciec — lód to Syn Boży — śnieg to Duch św., — więc będą trzy osoby. — Niedługo potem lód i śnieg stopniał, a żyd zawołał: — Widzieliście panowie wodę, lód i śnieg — a teraz co widzicie? Samą wodę jednej natury — a więc ta sama przez się woda jest to jeden Bóg w trzech osobach i ja chociaż żyd — takie mam zdanie o tajemnicy Trójcy św. — Zawstydzeni przeciwnicy opuścili karczmę w milczeniu.

Poprawił mu się gust...

Zosia: — Janek powiedział wczoraj na wieczorku, że jestem najładniejsza ze wszystkich panien, jakie znał...

Helenka: — To samo mówił i mnie przeszłego roku.

Zosia: — Wiem o tem, moja droga: ale od tego czasu mógł się mu gust poprawić...

O to najmniejsza.

Urzędnik w banku: — Pani musi mieć kogoś, ktoby poświadczył tożsamość osoby...

Interesentka: — Moja znajoma może poświadczyć.

Urzędnik: — Ale ja nie znam pani znajomej...

Interesentka: — O to najmniejsza; zaraz pana przedstawię...

Nasze dzieci.

Mała Stasia: — Ciociu, czy ciocia wyjmuję co wieczór swój język, tak jak mama swe zęby?

Ciocia: — Dla czego się o to pytasz, kochane dziecko?

Stasia: — A no, bo tatuś niedawno temu powiedział, że ciocia ma fałszywy język.